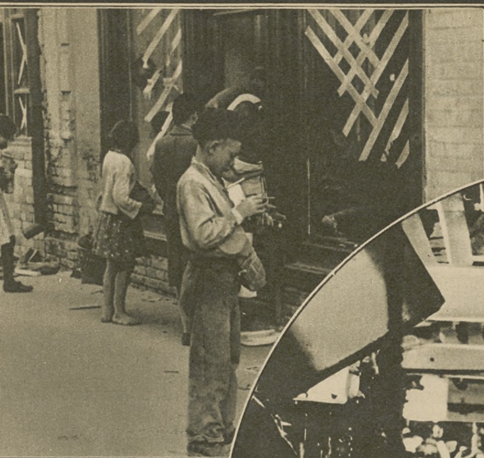
Nr. 41 Rok 2 Kraków, dnia 12 października 1941 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



PURPURA I ZŁOTO JESIENI SĄ POCZĄTKIEM KOŃCA, A JEDNAK ZACHWYCAJĄ NASZE OCZY TAK SAMO, JAK MŁODA ZIELEŃ WIOSNY I JAK MŁODOŚĆ.

Fot. Borek — I. K. P.



GRABIEŻ SKLEPÓW

o odejściu Sowietów wkroczyły wojska ckie do miasta W., zastały ludność gra- sklepy, jak to widzimy na naszej ilustracji.

NOWOCZESNY STRUŚ

y sowieccy tak się przebierają (ilustr. u), by maskować się wśród gałęzi To także nie zapobiegnie zagładzie bolszewików.



ŁODZIE PODWODNE W DRODZE NA NIEPRZYJACIELA

Dwie trzecie zatopionych we wrześniu angielskich łodzi podwodnych — 452.000 z 683.000 ton — padło ofiarą niemieckich łodzi podwodnych. Na wszystkich morzach świata krążą szybkie łodzie podwodne i niewidzialne pod wodą podpływają do konwojów angielskich, by je storpedować. Nasza ilustracja przedstawia wnętrze jednej z niemieckich łodzi podwodnych polujących na konwój na Atlantyku. Wśród torped i najrozmaitszego sprzętu czatuje załoga na nieprzyjaciela.



Fot. Ass. Press (2) Scherl (3) Weltbild (2)

BOMBY NA LENINGRAD

Wciąż nowe fale bombowców niemieckich atakują wojskowe i inne ważne obiekty w otoczonym Leningradzie. Po każdym takim nalocie wznoszą się gęste chmury dymu nad miejscami trafionymi w dzielnicach portowej i przemysłowej.



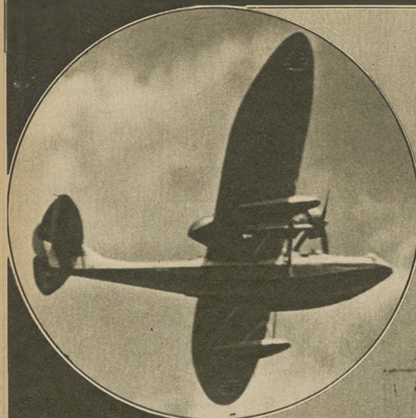


WIZYTA ŚWINEK

Dwie sztuki nierogacizny nadające się do zabicia odwiedziły piechurów niemieckich w ich okopach. Po dwukrotnie skutecznie odpartym ataku sowieckim, będzie smakować żołnierzom dobra pieczeń.





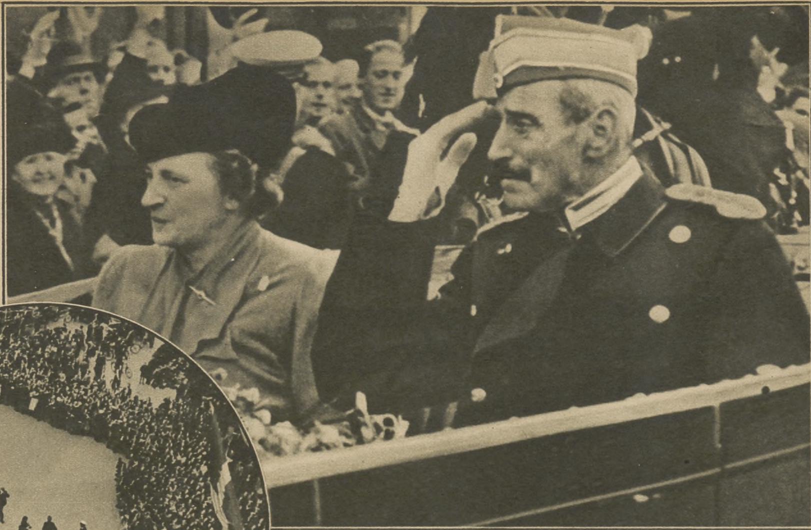


„NELSON" TRAFIONY

Włoskie samoloty torpedowe zaatakowały flotylę brytyjską wypływającą z Gibraltaru, uszkodziły ciężko 6 krążowników i jeden pancernik a zatopiły trzy ciężkie i jeden lekki krążownik jak również dwa okręty handlowe. W dalszym ciągu w czasie tego skutecznego ataku ugodzono ciężko ogromny okręt wojenny „Nelson" poj. 35.000 btr. (na przednim planie naszej ilustracji). W czasie tej bitwy zestrzelono dalej 6 samolotów angielskich. Siedem godzin trwała ta bitwa zakończona ogromnym zwycięstwem włoskich samolotów torpedowych (ilustracja w kole).

KRYSTIAN, KRÓL DANII SKOŃCZYŁ 71 LAT

W dniu 26 września obchodził król duński Krystian 71 rocznicę swych urodzin. Oba nasze zdjęcia przedstawiają królewską parę duńską podczas jazdy przez stolicę Danii, gdzie była ona przez ludność owacyjnie witana.







POLICJANT W KAGAŃCU!

Nie, to nie jest kaganiec, co nosi na twarzy policjant japoński kierujący ruchem w Tokio, lecz maska ochronna mająca na celu zapobiegnięcie zarażeniu się katarem.

WPROWADZENIE OZNAK DLA ŻYDÓW W NIEMCZECH

Z dniem 19 września 1941 r. wszyscy żydzi w Niemczech zostali oznaczeni żółtą gwiazdą syjońską z napisem „żyd", którą należy nosić na ubraniu na piersi z lewej strony.





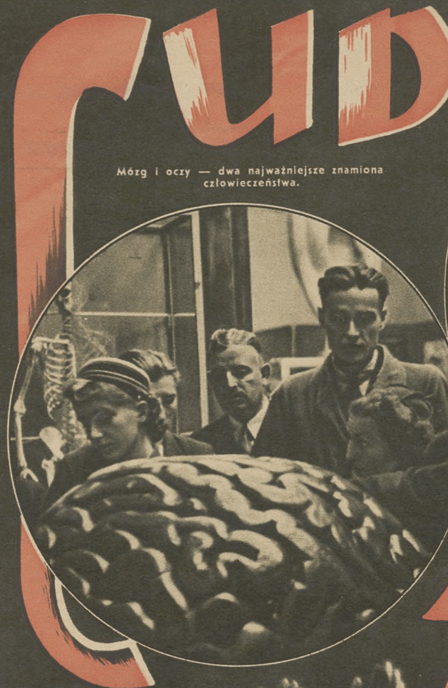
NIEZWYKŁY SPOSÓB WYSIADANIA

W Szwajcarii na linii kolejowej Thun-Berg zdarzyła się w dniu 23. 9. wielka katastrofa kolejowa. Wskutek mylnego nastawienia zwrotnicy najechał pociąg pospieszny jadący z szybkością 90 km/godz. na stojący na stacji Kiesen pociąg osobowy. 10 zabitych i 14 rannych było ofiarą zderzenia. Nasza ilustracja przedstawia bynajmniej nie łatwe wydobywanie jednej z pasażerek pociągu osobowego przez okno wagonu, który przy katastrofie wyskoczył z szyn.

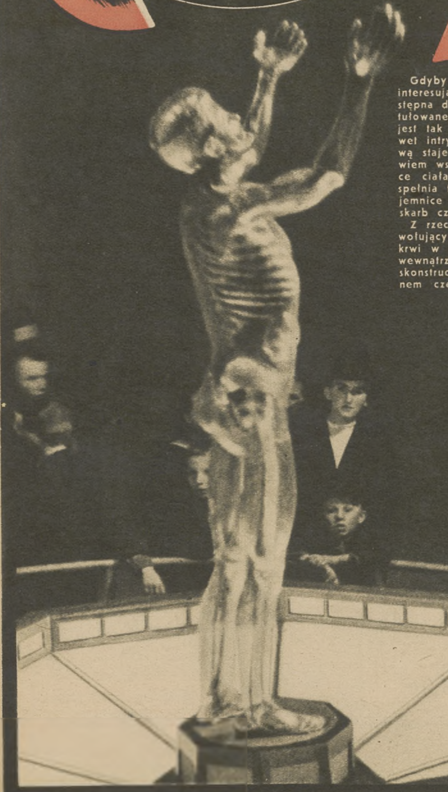
Fot. Ass. Press

CUD ŻYCIA

Mózg i oczy — dwa najważniejsze znamiona człowieczeństwa.







Gdyby nauka występowała częściej w tak interesującej szacie, stałaby się bardziej przystępna dla szerokich mas. Temat wystawy zatytułowanej „Cud życia" pokazanej w Krakowie jest tak zajmujący i możnaby powiedzieć nawet intrygujący, że zainteresowanie się wystawą staje się zupełnie zrozumiałe. Trudno bowiem wszystkim śmiertelnikom zgłębić tajemnice ciała ludzkiego. Wystawa „Cud życia" spełnia tę dobrą rolę, że uprzystępnia te tajemnice wszystkim i uczy cenić największy skarb człowieka: życie.

Z rzeczy najbardziej zaciekawiających i wywołujących zdumienie jest pokazanie krążenia krwi w ciele ludzkim na drewnianym modelu, wewnątrz którego sieć naczyń krwionośnych skonstruowanych ze szkła i napełnionych płynem czerwonym lub niebieskim porusza się, drga życiem. Niezmiernie interesującym jest model mózgu i skojarzenie jego funkcyj na obrazkach filmowych, wywołanych zapomocą naciśnięcia guzika w masie mózgowej. Dowiadujemy się więc, że np. czynność widzenia powstaje w naszym mózgu nie nad czołem, jakby można przypuszczać, lecz w części tylnej mózgu, że czynność poznawania zaczyna się w czołowej części mózgu itd. Punktem kulminacyjnym wystawy jest jednak szklany człowiek. Jeżeli nie widać na nim tak żywo i bezpośrednio życia, to i tak należy podziwiać twórców tego dziwu techniki.

„Cud życia" pokazany zostanie również w Warszawie, ze względu na zainteresowanie, jakie wystawa wywołała. W ciągu dwóch pierwszych dni t. zn. w ciągu soboty i niedzieli, 28 i 29 IX., zwiedziło wystawę aż 10.000 osób.

Fot. Borek — I. K. P.

...AŻ DO ŚMIERCI...

W dużym ogrodzie, na krańcach wielkiego miasta stał szary, surowy gmach. Szkoła. Czarne tafle okien patrzą z za drzew jak martwe oczodoły ślepca. Na parterze migocze mdłe światełko. Jedyny znak życia w pustym gmachu. Mała żarówka słabo oświetla mroczny pokój. Po kątach leżą sterty zakurzonych papierów i książek. Szafa z szeregiem globusów, długi stół na krzyżakach, na nim probówki, kolby, zlewki, jakieś tygielki, torebki i znów stosy zakurzonych papierów.

Z kąta za szafą słychać chrapliwy oddech. Na brudnym łóżku spoczywa starzec. Siwa głowa na wiotkiej, pomarszczonej szyi. Białe, krzaczaste brwi ściągnięte w jedną linię. Płonące gorączkowym blaskiem oczy patrzą gdzieś daleko, za mury szkolne... w przestrzeń...

To stary nauczyciel, pan Wiktor Kępka, któremu dano kąt w wielkiej szkole. Uczył tu kiedyś, teraz dogorywa, oddychając jedynym na świecie zapachem zatęchłych murów i starych papierów. Lżej starym piersiom oddychać tym zapachem niż najświeższym powiewem dalekich pól.

Ruszył niespokojnie rękami pan Wiktor i słucha... Zegar gdzieś bije... To na korytarzu przed salą gimnastyczną... — Czas wstawać. — Siódma...

Głucha noc jesienna leżała za oknami oświetlona srebrnym blaskiem księżyca. W mrocznym pokoju zagasło światło. Stary nauczyciel Kępka spieszy się na lekcje.

— Tak, siódma! — Trzeba wcześniej iść do klasy, bo znów urwisy nabroją i będzie bieda.

Spalone gorączką usta coś mruczą do siebie... Palce pokryte zżółkłą, zniszczoną jak stare rękawiczki skórą, poruszają się szybko, szukając ubrania.

Pan Kępka chodzi po swym pokoju w potokach księżycowego światła.

— Zaraz, zaraz, gdzie ja to dziennik położyłem... Acha, jest...

Skrzypnęły cicho drzwi. Idzie pan Wiktor przez pusty korytarz szkolny. Mija szeregi jednakowych drzwi. Ciężko starym nogom wchodzić na schody.

— Jakie to te schodziska wydeptane, a poręcz jak wypolerowana! Drą smarkacze porcięta na tej poręczy — mruczy do siebie.

A jak to zeszłego roku Kazio Paciorek nos rozbił na schodach — byłoż to było. Jakże — siostrzeniec samego kierownika. A wszystko dlatego, że pan Kępka nie dopilnował dzieci na przerwie. Gdzie mu tam staremu nogi zrywać za tymi urwisami. Prosił więc tylko i prosił: Uważajcie, chłopcy na schodach! — Ale gdzie tam gadanie pomoże... polecieli, aż zadudniło, no i nieszczęście gotowe...

— Uff!... Coś z tym sercem nie dobrze, tak ciężko iść po schodach na drugie piętro. A jaka to cisza dzisiaj! Jeszcze wszystko w szatniach na dole — myśli pan Wiktor i dochodzi do drzwi swojej klasy. Drżące ręce chwytają klamkę — znajomy od lat kształt.

— Ileż to już? 40... nie,... 46 lat uczy tutaj. Wszedł do klasy. Wyszczerzyły do niego ławki czarne pulpity. Podszedł do katedry. Spróbował czy krzesło dobrze stoi, bo mogli chłopcy znów nogę urwać. Nie, wszystko dziś w porządku. Usiadł i oddychał ciężko. — Starzeję się, nie ma co mówić, jak mi to serce bije... Odpocznę z 15 minut zanim chłopaki przyjdą...

Rozłożył dziennik, oparł na nim drżące dłonie i zapatrzył się w nagie gałęzie jesionu rosnącego pod oknem. Można sobie pozwolić na marzenia, lekcje się jeszcze nie zaczęły... Nie wie nic staruszek, że noc przykryła ziemię. Zginęła przepaść lat dzieląca go od chwili gdy rzeczywiście uczył w tej klasie. Dobroczynna gorączka sennymi majakami otuliła starego. Czeka na dzwonek i marzy... wspomina... Z rzędów pustych ławek na palcach skrada się ku panu Wiktorowi Kępce daleka, barwna młodość...

Junacka młodość na uniwersytecie. Pijatyki koleżeńskie, burszowskie figle w domu akademickim... Noce pełne pracy przedegzaminacyjnej... Dyplom... Bankiet pożegnalny... Głośno brzmiało radosne „Gaudeamus"...

Z ust wybiega cichutka, drżąca melodia: — Iuvenes dum sumus! — Błyszczą stare oczy... Hej, mocny Boże, poszedł w świat z wiarą, o, wielką wiarą w ludzi, w wiedzę, we własne siły. Stypendium dostał na podróż za granicę. Więc dodatkowe studia w Monachium. Praca, prawdziwa praca. Dużo uznania, dużo radości. I monachijskie piwo w kamiennych kufelkach, i wycieczki w podmiejskie okolice... Gorące dysputy na zimnej, studenckiej mansardzie. Wreszcie końcowe egzaminy i powrót do kraju. Poznanie Wandy... Miłość... I pan Kępka widzi siebie jak w pożyczonym fraku z białym kwiatkiem w butonierce prowadzi Wandę do ołtarza. Koledzy na czarno, z odświętnie poważnymi minami stoją szpalerem i poszturchują się łokciami...

A potem własne mieszkanko i szczęście... Krótkie jak ruch motylich skrzydeł chwile szczęścia... Panu Kępce się dobrze powodzi. Ma futro z bobrowym kołnierzem, a pani Wanda wspaniałe karakuły i nowy kapelusz co miesiąc. W kołach miarodajnych przebąkują coś o asystenturze na zagranicznym uniwersytecie. Płyną miesiące... lata. Dzieci... Ukochana trójka dzieciaków...

I nagła choroba Wandy. Cios najcięższy: jej śmierć... Jakieś zonine ciotki zabrały dzieci do siebie... Pan Wiktor Kępka został sam... Nie było czym wypełnić przeklętej pustki samotnych wieczorów. Zaczął pić... Przy wódce choć na chwilę miał złudzenie przeszłości...

Trzeba było z czegoś żyć. Wymknęły się z drżących rąk wysokie stanowiska, nie było już siły by o nie walczyć... Dostał wreszcie posadę w tej oto powszechnej szkole. Zaczął uczyć... I całym swym samotnym sercem przylgnął do nowego zajęcia. Widział w nim jedyną możność podźwignięcia się z upadku. I uczył pilnie przez długie lata. Nie tknął więcej kieliszka. Dostał pokój w szkole i całymi tygodniami nie wychodził na miasto. Podczas długich wolnych godzin rozpamiętywał każdą swoją lekcję i odpowiedź każdego ucznia. Ci chłopcy to były jego ukochane dzieci. To jego świat dla którego żył, dla którego nierównymi drgnieniami biło schorowane serce pana Wiktora. Tak przeszły długie lata. Zapomniał o swym nieszczęściu, zatarła je odległość przeżytych dni... Męczące były tylko wakacje. Chodził wtedy po szkole, powłócząc zmęczonymi nogami i czekał końca bezczynności. Z pierwszym dniem nauki pan Kępka był już od świtu na posterunku. W czystym, sztywnym kołnierzyku, wyświeżony czekał na dzwonek...

Aż wreszcie przyszło to czego bał się najbardziej: — emerytura. Jak grom uderzyła ta wiadomość w starego nauczyciela. Uczniowie jego dawno dorośli, a on jeszcze uwierzyć nie mógł, że stał się niepotrzebny, że nie wolno mu uczyć. Zostawiono go w jego pokoju. Wstawał więc co rano jak zwykle i trzymając w rękach stary dziennik szedł na piętro. Stawał przed drzwiami swojej klasy i przyglądał się przebiegającym chłopcom. Zamykano wreszcie drzwi i ktoś inny rozpoczynał codzienną modlitwę przedlekcyjną. Wracał wtedy do siebie i siadał na wytartym fotelu. Siwa głowa opadała nisko na piersi, a z wyblakłych oczu biegły jedna za drugą, łzy.

Ciężka choroba sercowa unieruchomiła go wreszcie na stałe w łóżku. Coraz mniej pamiętał o rzeczywistości... Mgła nieświadomości pokryła w końcu wszystko... Leżał nie czuły na nic, poruszał tylko ustami, prowadząc nieskończone rozmowy ze swoimi uczniami. Woźny i jego żona opiekowali się nim.

Dziś ocknął się w środku nocy... Drgnęło stare serce na dźwięk zegara. Poszedł na lekcje...

Siedział w pustej klasie na katedrze i wodził nieprzytomnymi oczami po znajomych ścianach. Przecież to jego klasa... Chłopcy zaraz przyjdą i siądą w ławkach... Będzie pan Kępka chodził między ławkami, dyktował zadania, a raz po raz pogładzi któregoś z chłopców po ostrzyżonej główinie... jak codzień... Szumi coś gdzieś i szumi... To pewnie, aż tu dobiega gwar z szatni. Lekcje zaraz się zaczną... A pana Kępkę ktoś gdzieś woła... Jakby głos jakiś z oddali... Nie może przecież iść, bo lekcje za chwilę... Serce bije coraz nierówniej i tak boli, tak boli... Wstaje powoli, wie, że gdzieś iść musi, daleko, daleko, a sił nie ma i lekcje za chwilę... Nie, nie pójdzie stąd nigdzie... Nie przejdzie więcej progu swojej klasy... Musi tu zostać... To jego miejsce wywalczone długimi latami pracy. Ręce kurczowo trzymają krawędź katedry. Spojrzał w zalane księżycowym światłem okno i nagle... zrozumiał... Mignął się w oknie cień jakiś, ni to głaz jesionu, ni postać biała... do siebie go wzywająca... Załamały się jak podcięte starcze nogi. Poorane bruzdami czoło ze stukiem opadło na wydeptaną nogami ukochanych chłopaków, szkolną podłogę...

Nadeszła śmierć...

Skołataną duszę pana Wiktora Kępki przygarnęła Wielka Pocieszycielka.

J. Jel.

MIŁOŚĆ MURZYŃSKA

Wielkie poruszenie wywołało nagłe zniknięcie Henryka Jakóba Tussota, bogatego hodowcy strusiów, tak wśród kolonistów francuskich, jak i miejscowych murzynów bardzo popularnego. Popularność tego dzielnego i znanego człowieka sprawiła, że kacyk plemienia Mbu-Ntu, zwany Kamienną Pięścią i uprawiający zawodowo rozbój, odwiedził go niedawno i ofiarował mu cały kieł słoniowy, żywą zebrę, pazur lwa i własną żonę, wcale jeszcze fertyczną kobietę z ogromnym kolczykiem w nosie.

Nie pojętym było, jak mógł zginąć władca strusiów w towarzystwie dwóch najwierniejszych sług swoich. Byli to czarni synowie okolic podzwrotnikowych Bargrini, tak zeuropeizowani, że starszy z nich Gzi-Gzi umiał wcale nieźle posługiwać się chustką do nosa, a młodszy Koa-Ko ubierał się co niedziela w spodnie. Otrzymał je kiedyś od swego pana i uważał, że człowiek prawdziwie cywilizowany powinien koniecznie taką dekorację mieć — jeśli nie na nogach, to bodaj w kuferku.

Obydwaj murzyni nigdy nie opuszczali swego pana i w swym bezgranicznym przywiązaniu do niego, wyciągali go całego z najrzykowniejszych opresyj; raz np. o mało nie stracił ich chlebodawca głowy, gdy stary krokodyl postanowił mu ją odgryźć. Poczciwy Gzi-Gzi takiego narobił wrzasku, iż srogi potwór zatkał uszy i uciekł, roniąc po drodze dwa świeże jaja. Koa-Ko czym prędzej ugotował je na twardo, po czym nabito nimi procę i uśmiercono czmychającego płaza.

Innym razem dzielna trójka spotkała się oko w oko z jadowitym skorpionem, który jednak nikomu krzywdy nie uczynił, bo wskutek zaklęć Koa-Ko, zupełnie zapomniał żądła w gębie.

Po wielu tarapatach w kraju dzikim i pustynnym, gdzie straszne ryczące lwy spacerowały bez kagańców, a czarne i żółte pantery zabawiały się połykaniem surowych antylop, znalazła wystraszona ekspedycja zalewających się łzami obydwu murzynów, siedzących pod monstrualnym kaktusem. Trudno było wyciągnąć z nich cokolwiek o śmierci Tussota, ponieważ grube ich wargi drgały wciąż spazmatycznym płaczem, nie przepuszczając ani słowa z oniemiałych ust.

W końcu biedny Gzi-Gzi, zaczął: „Och biedny Tussot już kaput, nie ma! — dusza fiut". W dalszym ciągu z niedołężnie skleconych zdań wymiarkowała ekspedycja, że banda groźnych tuaregów napadła ich, chcąc uśmiercić hodowcę strusiów za murzynkę, którą Mbu-Ntu ukradł wodzowi ich i ofiarował mu jako swą żonę.

— Ale cóż się ostatecznie stało z waszym panem, krzyknął naczelnik ekspedycji?

Murzyni wznieśli oczy do nieba i zaczęli się gładzić pieszczotliwie po brzuchach...

Tłumacz poszeptał chwilę z indagowanymi, wreszcie zwrócił się do obecnych i oznajmił, że zjedli go z miłości, aby uwolnić go od straszliwej śmierci u tuaregów, ale z należnymi honorami, bo upieczonego na rożnie i polanego słonymi łzami.

Jan Wierzbówka

ŚWIAT NA KOLOROWO

W Pasadenie, USA, otwarta została niedawno wystawa zwierząt, na której mowę inauguracyjną miała papuga. Cornelius — tak nazywa się papuga — wyrecytowała swoją mowę składającą się z 75 słów jak nakręcona, potem nie pozwoliła się zmusić choćby do jednego słowa jeszcze. Jest to najprawdopodobniej najbardziej utalentowana papuga na świecie.

*

W pobliżu Padwy (Włochy) jechał rowerzysta rowerem do domu. Po drodze zerwała się burza z błyskawicami i grzmotami oraz gwałtownym deszczem. Rowerzysta, szukając schronienia, stanął w kuźni przed ogniskiem. Naraz błysło i w chwilę potem spostrzegł rowerzysta, że jego kapelusz słomiany się spalił. Ze strachu stracił on mowę.

*

Na linii kolejowej Zidani—Most w Chorwacji, wpadł pewnej pani podczas wychylania się z okna pociągu złoty łańcuszek w szparę, w którą wpuszcza się okno. Urzędnik kolejowy, który pomagał wyciągać łańcuszek ze szpary, znalazł nie tylko łańcuszek, lecz do tego jeszcze kilka tysięcy złotych.

Badacze tureccy, badający wschodnią część Anatolii, odkryli tam napół dzikie plemię nomadów, którzy odznaczają się niezwykłą ostrością wzroku. Na przykład chłopiec dwunastoletni widzi dwanaście razy tak ostro, jak normalnie widzący człowiek, zaś starcy w wieku lat 70—80 jeszcze dwa do trzech razy lepiej niż zwykli śmiertelnicy.

*

Pod kamieniem węgielnym pewnego domu we francuskim mieście Usselieres, podczas rozbierania znaleźli murarze przed kilku tygodniami garnek ze złotymi dukatami, pochodzącymi z czasów wielkiej rewolucji francuskiej.

*

Na jednej z ulic w San Francisko spotkała pewna pani swego męża zaginionego przed piętnastu laty i uznanego za zmarłego. Zaginiony przebywał cały czas w Chinach i doszedł tam do wielkiego bogactwa. Oboje mają zamiar pobrać się. Niewiadomo jednak, czy teraz jest to jeszcze miłość czy interes, zwłaszcza ze strony żony.

*

Pewien wieśniak w Herfords, w Anglii, zdziwił się niedawno, gdy do jego zagrody powrócił pies, którego sprzedał przed rokiem jakiemuś blacharzowi mieszkającemu w odległości 150 kilometrów od jego wsi. Jak się okazało, umarł blacharz i wierny pies przypomniał sobie swego dawnego pana.

*

W dziwny sposób położyła pewna para narzeczeńska kres swemu życiu. Młodzi ci ludzie z Fort Rawlins w Górach Skalistych związali się grubym powrozem i razem skoczyli do przepaści z wysokości 650 metrów.



KONWÓJ ANGIELSKI NA HORYZONCIE!



Wciąż na nowo wprawiają w zdumienie dalekie zasięgi maszyn niemieckich samolotów bojowych, które wysuwają się daleko na Atlantyk stanowiąc przez to stale wzrastające niebezpieczeństwo dla konwojów angielskich. Całe gromady takich maszyn bojowych jak ten oto czteromotorowy kondor rzucają swoje bomby na konwoje i zatapiają okręt za okrętem. Na ilustracji na lewo widzimy radiotelegrafistę przy nadawaniu meldunków. Na prawo telegrafista pokładowy wzywa sygnałem wyśledzony konwój angielski: „Daj znak rozpoznawczy! „Stój!"

Fot. Ass. Press

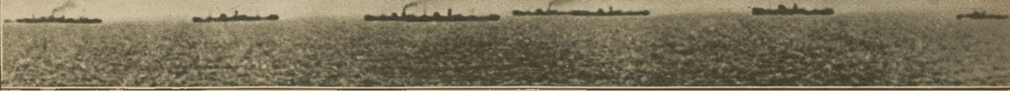


W bitwie na Atlantyku zostało zatopionych w miesiącu wrześniu, według komunikatów niemieckiej komendy sił zbrojnych 683.000 ton angielskich okrętów handlowych. Z tego 452.000 ton przypada na niemieckie łodzie podwodne, podczas gdy reszta padła ofiarą bomb niemieckich samolotów długodystansowych. Może w ostatnich miesiącach spodziewali się Anglicy, że bitwa na Atlantyku pochłonie mniej tonażu, którego ogólna ilość w Anglii z każdym dniem maleje. O ile w lipcu zatopiono tylko 407.000 ton, wzrosła w sierpniu liczba zatopionego tonażu znów do 537.000 ton. A ostatnie cyfry zatopionych we wrześniu okrętów wykazują, że współpraca niemieckich sił morskich i powietrznych staje się coraz skuteczniejszą. Nawet Churchill, jak się zdaje nie widzi bitwy na Atlantyku w zbyt różowym świetle, gdyż w swej mowie do Izby gmin w dniu 15 września — a więc na długo przed podaniem do wiadomości nowych cyfr zatopionych ton — nie byłby się wyraził tymi słowy: „Nieprzyjaciel używa większej niż kiedykolwiek ilości łodzi podwodnych i większej ilości samolotów o dłuższym promieniu zasięgu niż dotychczas, a należy się liczyć ze zwiększeniem tych liczb." Premier angielski bardzo dobrze poznał, komu zawdzięcza angielska flota handlowa ten niedający się niczym zahamować ciągły ubytek tonażu. Nie pomogła żadna metoda: ani że angielskie konwoje złożone są z wielu okrętów handlowych pod osłoną okrętów wojennych, ani też że wysyła się uzbrojone okręty handlowe pojedyńczo na morze! Zawsze dostają się one przed otwory torpedowe niemieckich łodzi podwodnych i pod grad bomb dalekobieżnych samolotów niemieckich. I właśnie w ubiegłym miesiącu została znów prawie zupełnie zniszczona większa ilość dużych konwoi. Niemieckie samoloty dalekobieżne osiągnęły nieoczekiwany promień działania. Nie ujdzie im żaden okręt, żaden konwój na Atlantyku. Ich meldunki przywołują łodzie niemieckie stojące na czatach. W kleszczach łodzi podwodnych i samolotów bojowych nie pozostanie okrętom angielskim inna droga jak ta w niezmierzoną głębią Atlantyku.



Tymczasem ustala się położenie, kurs, wielkość i straż towarzyszącą konwojowi angielskiemu. Komendant samolotu notuje te dane na swej mapie.

Tym razem wyśledzono 7 okrętów konwoju angielskiego. Będzie to tłusty kąsek dla łodzi podwodnych, sprowadzonych drogą iskrową przez dalekobieżne samoloty bojowe, aby do bomb samolotów dołączyć jeszcze torpedy.



HALLO! tu mówi Ameryka!

Sercem Nowego Jorku, miasta businessów i operacyj handlowych na niepojętą wprost dla nas skalę jest dzielnica giełdowa i bankowa tego drugiego pod względem wielkości miasta na świecie. Zdjęcie zostało wykonane w samolocie. Drapacze chmur, wyglądają tu dość spłaszczone, a jednak, jeżeli zadamy sobie trud i choć w przybliżeniu policzymy piętra tych kolosów, zdumienie nasze jest ogromne.

Długi czas celowała Ameryka w boksie. Znane jest wszystkim zwolennikom tego sportu na pięści nazwisko Joe Louisa, Dempseya i tylu innych zwycięzców lekkiej i ciężkiej wagi. Od jakiegoś czasu jednak te wyczyny pięściarskie ustąpiły sprawom poważniejszym w tym samym stopniu, jeżeli jeszcze nie bardziej interesującym. Na prawo widzimy scenę z walk na ringu; jeden z walczących został zupełnie unieszkodliwiony.

Demonstracje należą do dość częstych „rozrywek" ludności miasta Chicago. Najmniejsze niezadowolenie objawia się właśnie w ten sposób, że ludność się zbiera i demonstruje. Przy tym niewiele robi ona sobie z interwencji policji. Jak widzimy na naszym zdjęciu poniżej, powalona na ziemi leży policja chicagowska, a demonstranci przypatrują się temu z uśmiechem.

Tak wygląda delikwent lub delikwentka — gdyż i to się zdarza — na krześle elektrycznym. Na twarzy maska, żeby oszczędzić straceńcowi widoku ostatnich przygotowań i chwili ostatecznej.

To nie „królowa piękności", których tyle już było na świecie i w Ameryce, lecz typ „idealnej sportsmenki", uznany przez lekarzy amerykańskich. Jest nim miss Bess Erhardt z Superior w stanie Wisconsin. Zdobyła ona liczne nagrody za grę w tenisie, jazdę na łodzie i innych gałęziach sportu.

Fot. Arch. I. K. P.

Amerykanki słyną z tego, że prawie wszystkie mają bardzo smukłe, zgrabne nogi. Na naszym zdjęciu na lewo u góry widzimy trzy tancerki amerykańskie wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer. W oczekiwaniu na swój numer podczas nakręcania filmu przyglądają się pracy w atelier.

Wojna z gangsterami jest nie mniej ważnym problemem w Ameryce jak toczące się prawie na całym świecie ta druga wojna. Jak w każdej walce tak też i w wojnie ze złoczyńcami są ofiary nie tylko wśród tych, którzy występują w obronie sprawiedliwości. Nierzadko zdarza się też, że wśród samych band wykonuje się akty zemsty za zdradę lub nie dość gorliwą służbę dla organizacji. Taki właśnie wypadek widzimy na naszym zdjęciu na lewo. Notoryczny „bootleger" został znaleziony w swym samochodzie w Los Angeles zabity przez swą bandę.

Powyżej jeszcze jedno z dziwactw i extrawagancyj amerykańskich. Pewna para sportowców z wyspy Catalina w Californii wzięła ślub na wodzie. Orszak ślubny musiał naturalnie towarzyszyć w łodziach. Za nowożeńcami widzimy pastora, pierwszego drużbę i drużkę. „Strój" weselny jest dostosowany do sytuacji. Poważna zwykle uroczystość tu zamieniła się w pełną humoru wycieczkę.

DZIKI PTAK Z ARA TUA

2 ciąg dalszy

NAPISAŁA: ALEKSANDRA PRÓSZYŃSKA

Płomienie żarzyły się jasnym blaskiem. Zapadło wreszcie milczenie i wtedy zabrał głos władca Ara-tua.

— Wysłuchałem moich dzielnych mężów, którzy są dojrzali i bardzo umieją cenić pokój. A teraz niech zabierze głos Ra-tongo, Rozsądek Żółwia, który rozumie, że napaść na Wyspę Srebrnych Ptaków to nie groźba utraty przywilejów królewskich, ale niedochowanie przymierza braterstwa i przyjaźni, — to podstęp i zdrada.

Starszyzna milczała. O-le stanęła na palcach, wyciągnęła szyję. Ra-tongo zbliżył się do ogniska. Rozejrzał się po twarzach i przemówił słowami, które — zdawało się O-le, — płyną z jej ust.

— Z waszej mowy, dzielni mężowie, bije tchórzliwość i słabość. Widzę w niej nie tylko wasz lęk, ale i zazdrość waszych kobiet, której wam pewnie nakładły pełne uszy, a wy nie wstydzicie się jej tu podawać jako swoich argumentów przeciwko wojnie. Wyspa Srebrnych Ptaków, to przecież nie skład strojów królewskich, o które zazdrosne są wasze kobiety. Posiadanie jej jest znakiem władzy królewskiej. Słyszałem o ziemiach, gdzie królowie noszą na głowach korony ze szlachetnego kruszcu, złotem zwanego, a na palcach pierścienie i tym się różnią od poddanych. Jeśli nieprzyjaciel chce odebrać mu panowanie, mówi się, że sięga po jego koronę. Wódz Wyspy Ciepłych Wiatrów sięga po Wyspę Srebrnych Ptaków, — krzyknął nagle Ra-tongo, — koronę króla Ara-tua!

Wśród zebranych wszczął się ruch. Podnosili ręce, gestykulowali, wołali naprzemian coś. O-le widziała ich twarze, jak z ponurych i bezbarwnych w otępiałym smutku stawały się pełnymi wyrazu. Wyglądali jak ludzie, którzy budzą się ze snu. Nagle ktoś zawołał:

— Czemże uzbroimy nasze straże?

Ktoś inny podchwycił drwiąco:

— Pałkami do ugniatania ziarna!

O-le zasępiła się. Krótki oddech wydobywał się z jej piersi. Oto znów dostrzegała, jak starania jej spełzają na niczym. Co z tego, że O-le pragnie wojny, że po nocach śni o stosach łuków, które miały jej przynieść pęki srebrnych piór. Ara-tua kocha pokój, dobre jedzenie, spokojny księżyc na lagunie, wygodny sen. Ara-tua ociąga się, cała idzie przeciw temu, czego pragnie O-le. Jej ziomkowie to tchórze, niegodni miana wojowników. Wyglądają jak stado głupich upasionych warchlaków, węszących tylko za smacznym jadłem i wygodnym posłaniem. Tylko jeden z nich i to właśnie on, Ra-tongo, stoi pośród nich wyniosły, jak tamci wojownicy z Wyspy Ciepłych Wiatrów. Czyż nie wart jest więc tylu kłamstw i trosk i starań, których O-le musi dokładać, by go zdobyć?

Ra-tongo rozejrzał się po gromadzie. Rzekł krótko:

— Na Ara-tua jest jeden człowiek, który słynął kiedyś z wyrobu łuków.

— Łucznik! — krzyknął ktoś.

O-le przygryzła wargi.

— Stary jest i niedołężny! — odparł ktoś zniechęcony.

O-lé omal nie krzyknęła: „Nieprawda! Nieprawda!"

— Zdaje się; że zły duch go nawiedził i starość mu rozum zupełnie odjęła — dodał ktoś inny.

O-le zatkała dłonią usta. Nie przewidziała wtedy, że to, co rzekła Ra-tongowi, rozniesie się po wyspie i zacznie się przeciw jej planom obracać. Król patrzył z niepokojem na Ra-tonga. Ten zaś odczekał chwilę, potem rzekł:

— Starość mu odjęła rozum, ale nie sprawność rąk, które są biegłe w wykonywaniu łuków, a odjąwszy mu rozum, dała złudzenie, że żyje w latach, kiedy wyspom walczącym potrzebna była broń. Ma jej sporo dlatego — i córka Łucznika, Dziki Ptak, nie wie co ma z nią począć.

O-le zesłabły kolana. W udach napiętych do tej chwili poczuła drżenie. Chciała oderwać od drzewa ręce i usiąść pod nim, by ochłonąć ze wzruszenia. Teraz dopiero spostrzegła, że dłonie, zwilgotniałe przykleiły się do kory żywicą. Oparła się więc o pień i dziękowała Wielkiemu Panu, który natchnął ją kiedyś dobrą myślą, gdy kazała ojcu swemu robić więcej łuków, niż potrzebował Orzeł Morski. Nie umiała jednak nic więcej rzec, ponadto:

— Jak to dobrze, że jest dobry głupi Ra-tongo!

Tego wieczora, gdy zagasły na Ara-tua ostatnie płomienie ognisk, a po chatach zamilkły ostatnie szepty i palmy już posnęły nad zatoką, — O-le oczekiwała za cyplem przybycia Orła. Przypłynął późno, gdy księżyc bladł już, by zasięgnąć języka. O-le usiadła na skraju łodzi, kołysała się gorąca od radości, a w oczach jej pojawiały się złote wężyki.

— Ara-tua przyjęła wyzwanie — zaśmiała się z cicha — będzie się bić.

— Czym? Czy pałkami od ugniatania ziarna — zakpił Orzeł.

O-le spoważniała. Uniosła dumnie głowę, zagrała w niej krew Araluan.

— Nie drwij z moich ziomków! Będą się bić bronią, której im ja dostarczę!

— O-le! — zawołał zaskoczony Orzeł, — czyżbyś ty im także... przeciwko mnie?...

O-le przestała się kołysać na łodzi. Odpowiedziała krótko:

— Jeśli mogę tobie dostarczyć przeciwko moim rodakom, czemużbym nie miała im — przeciwko tobie? Muszle z Wyspy Ciepłych Wiatrów są tyle samo warte co z Ara-tua.

— Masz serce handlarza, który by własną krew zamienił na perły! — wybuchnął.

Uderzyła stopą wodę, aż szeroko rozpłynęły się kręgi i zafalował księżyc. Odchyliła się do tyłu i parsknęła śmiechem przebiegle:

— Nie bój się. Łuki Aratuańczyków nie będą wiele warte. Strzała nie poniesie daleko. Muszę im jednak ich dostarczyć. Pamiętasz, Ra-tongo widział je. Nie mogłyby się gdzieś zapodziać.

— Mądra i przebiegła jesteś, nie jak kobieta!

Patrzył z podziwem na nią, na jej smukłe, długie nogi, na włosy pachnące paprocią, i oczy głębokie, nieprzejrzane jak cisza na lagunie, usta ciemne jak czerwony kwiat, gładkie ramiona, prześlizgnął się wzrokiem, objął spojrzeniem stopy. Zatrzepotała rzęsami, wyciągnęła ręce, broniąc się przed jego wzrokiem.

— Nie, nie — zawołała — nie zdobyłeś jeszcze Wyspy Srebrnych Ptaków!

ROZDZIAŁ VI

O-le zniosła łuki na brzeg zatoki, u którego stały łodzie z wioski. Dwaj mężczyźni powitali ją serdecznie. Była przecież tą, która oddaje wyspie nieocenione usługi, która pielęgnuje ojca i chorobę jego potrafi wyzyskać dla dobra swoich ziomków. Spytali:

— Jak Łucznik, O-le? Czy zechce robić dalej?...

— Słaby w nogach, nie wychodzi poza ogrodzenie, ale pracuje...

— Poszlibyśmy go odwiedzić, ale... — zakłopotanie odbiło się na ich twarzach.

— Chętniebym was widziała pod dachem moim, ale zły duch, który nawiedził Łucznika, mógłby się pogniewać i kazać mu się może na was rzucić...

— Biednaś ty O-le i taka dzielna — współczuli jej.

Spuściła głowę. Wolała nie patrzeć im w oczy. Jej skromność ujęła ich serca.

— Król kazał ci przyjść po perły, O-le. Masz stawić się przed nim, by odebrać nowe polecenia.

Wzruszyła ramionami:

— Nie chcę pereł, na co mi perły?

Otworzyli usta w zdumieniu. Oto stała przed nimi pierwsza kobieta z Ara-tua, która nie chciała pereł.

— Jakto, O-le, a łuki?...

— Niepotrzebne mi perły, rzeknijcie królowi, — gdy przyjdę, powiem mu to sama.

Odpłynęli, ostrożnie lawirując po zatoce, by nie utracić nic z cennego ładunku. O-le odczekała, aż wyjdą na środek, po czym wróciła do domu. Łucznik układał narzędzia, zsączał do jednego naczynia żywicę. Spytał:

— Czy już Orzeł nie kryje się jak dawniej po nocach i dlaczego nie przyszedł sam zabrać ładunku, lecz kazał ci się trudzić znoszeniem do łodzi?

O-le odwróciła się. Zza pleców wyjaśniła:

— Nie chce zostawiać łodzi samej na brzegu. Ostatnim razem uprowadzono mu ją w zarośla, w głąb zatoki.

— Niemożliwe?! — zdumiał się stary. — Od kiedy żyję nie słyszałem, by na Ara-tua był złodziej... — patrzył na nią w zamyśleniu.

Wzruszyła ramionami:

— A jednak tak było.

— To by trzeba wyjaśnić, to rzuca cień na Ara-tua. Orzeł Morski jest przecież naszym gościem. Wybrałbym się do wioski, dawno już tam nie byłem...

— Daleka droga przez las i wąwozy i zarośla już bardzo. Nikt do nas przecież nie chodzi — zaoponowała skwapliwie z lękiem.

— Łodzią przecież mógłbym...

— Och! — zmartwiła się szczerze — nie mówiłam ci, by cię nie martwić, że rekiny się dziwnie rozzuchwaliły i obrały sobie naszą zatokę za wygodną kryjówkę

Przeraził się Łucznik, który od wielu już lat nie miał siły, by zanurzyć się, jak niegdyś w wodzie i poruszać się w niej swobodnie jak O-lé.

— Pilnuj się! — ostrzegał ją — widziałem kiedyś, jak mój brat skrył się pod wodę i nie wypłynął więcej.

— Och, nie, — roześmiała się z ulgą, że udało się jej odciągnąć go od chęci odwiedzenia wioski. Śmiech ten jednak był krótki i nieszczery. Na dnie serca leżał kamień, wieczny lęk. Jak długo trzeba będzie to wszystko kryć i jak się to dla niej skończy? Potrząsnęła głową. Nie będzie myśleć. Drzewa rzucają długie cienie, słońce prześwieca przez pnie i morze oddycha głęboko u brzegu. Któregoś dnia, gdy zdobędzie Ra-tonga, zapomni o wszystkim, a tymczasem trzeba jeszcze powiedzieć ojcu, że będzie musiał zająć się pracą. I ta go też zatrzyma w domu, nie dozwalając myśleć i przewidywać komu i na co tyle łuków potrzeba.

— Przyniosłam żywicy, trzeba ją oczyścić...

— Czy Orzeł Morski pragnie jeszcze więcej, nie mówił nic wtedy — zdumiał się Łucznik, coraz mniej rozumiejąc wszystko — zamierza on widocznie bardzo długą wojnę prowadzić...

— Prawda, nie mówiłam ci, — O-le weszła pod dach, by dokończyć z daleka, skąd nie widać było jej twarzy — ostatni transport zatonął mu. Jakaś większa fala...

Skryła się za zasłoną, zanurzyła palce we włosy i zacisnęła powieki. Jak bardzo zmęczyło ją to wielkie kłamstwo, leżące między nią, a wyspą i ojcem, jak ogromny czarny staw. Nie myśleć o tym. A musiała dalej mówić:

— Prosił o jeszcze raz tyle.

— Dobrze, dobrze... — zamamrotał stary, oblizując tłuste kości prosiaka. Od kiedy zabrał się do roboty, nie szczędziła mu jedzenia. Mieli teraz dużo błękitnych muszel, za które mogła dostać wszystkiego. Zajadał też stary ze smakiem, a siła i zadowolenie, płynące z pełnego żołądka dodawały mu ochoty do pracy, która szła lekko i szybko. Umysł jego, zajęty myślami o obróbce drzewa, gięciu go, nasycaniu żywicą stał się sprężysty i jaśniejszy niż przedtem. A O-le na przekór jakby temu, aby utrzymać wieś w odosobnieniu od ojca, posługiwała się ciągle bajeczką o złym duchu, który mu rozum pomieszał. Jak długo więc będzie mogła nie dopuścić do zetknięcia się ojca z kimkolwiek?

Gałąź jakaś zatrzeszczała w pobliżu. O-le wyskoczyła zza maty przerażona. Rzuciła niespokojnie okiem w lewo, w prawo.

— Czego się lękasz, O-le? — rzucił do niej pogodnie. Nie stanie się nam przecież nic złego, — potrząsnął chudą ręką w stronę, skąd dobiegł trzask, — to pewnie krewniak, albo może zeschła gałąź zleciała na ziemię...

Uśmiechnęła się z przymusem i przełknęła strach.

— Nie boję się niczego — wyprostowała się, a skóra jej zagrała złotem i brązem.

Obrzucił ją spojrzeniem, którego dawno nie widziała. Posłyszała ciche westchnienie:

— Podobna jesteś do matki, jak perła do perły, O-le!

Zadrżała. Łucznik odzyskał nie tylko siłę ducha, ale i ciała, skoro zaczyna tęsknić na nowo do matki. Matka przecież była kobietą.

— Gdybyś jeszcze miała lawa-lawa z piór i wachlarz w ręce — mógłbym pomyśleć, że matka twoja wróciła do mnie...

— Będę miała lawa-lawa z piór. Dziś idę do króla.

— O-le będziesz piękna, jak twoja matka, gdy była w twoich latach. Cieszę się, że je będziesz miała. Może wtedy...

Położyła dłoń na wargach. Niech lepiej nie mówi, co stanie się wtedy. Nie trzeba! Za dużo się czyni dla tego co się ma stać, by płoszyć to nieopatrznymi słowami.

Skinął głową i zabrał się do roboty. O-le zaś wysunęła się za ogrodzenie, zatknąwszy we włosy biały kwiat. Była już sporo od domu, gdy posłyszała:

— Pilnuj się! Rekiny!

I głos jego był teraz żywszy, dźwięczniejszy niż tak niedawno jeszcze. Przygryzła wargi. Tak nie myśli, mówi i czyni człowiek, o którym chodzi po wyspie wieść, że zły duch go nawiedził. Potrząsnęła głową, w końcu jednak wzruszyła ramionami, po czym poddawszy się do przodu, pobiegła do miejsca nad zatokę, gdzie stała jej łódź. Nie było tu zielonego cienia i myśli stały się w słońcu jaśniejsze. Niebo usłane było obłoczkami i zatoka leżała ciepła: popielata i różowa. O-le odplątała sznur, skoczyła do łodzi. Płynęła po pióra, które były jak zatoka popielate i różowe i jak podpływ fali gładziły miękko skórę.

Przed wejściem do domostw królewskich rzekła do wyrostka, przybocznego króla:

— Idź i powiedz swemu Panu, że przyszła O-le, córka Łucznika.

Chłopiec skoczył przez dziedziniec, a obracał się ku niej, szczerząc zęby. Po chwili dał znak, aby weszła pod dach królewskiego szałasu. Uchylił przed nią zasłony cienko tkanej i O-le wsunęła się do wnętrza. Król siedział wespół z wodzami, którzy na jej widok urwali narady.

— O-le, — odezwał się, gdy pokłoniła mu się z należytym szacunkiem, — potrzeba nam będzie jeszcze trzykroć razy tyle broni, ile zabraliśmy. Czy zdołasz do tego nakłonić swego ojca? Wrogowie nasi, zdaje się mają dużo łuków...

— O-le ma bystre oczy, — zauważyła cicho, ale pewnie, — i widziała, że broń wrogów jest niewiele warta. Łucznik zaś ma tajemnicę, która sprawia, że strzały niosą dalej niż wzrok sięga, a biegną prędzej niż głos leci.

— Wiemy o tym, O-le — rzekł król — i cenimy pracę Łucznika. Powiedz, ile żądasz za sztukę, a każę ci natychmiast odliczyć perły.

— Nie chcę pereł! — potrząsnęła O-le głową, aż zadrżał biały kwiat za jej uchem i woń jego rozpłynęła się we wnętrzu domu.

Wodzowie spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Podnieśli oczy na najpiękniejszą dziewczynę na Ara-tua, która gardziła perłami, choć miała skromne lawa-lawa z trawy morskiej, a za ozdobę tylko pachnący kwiat w ciemnych włosach. Uśmiechała się do nich łagodnie, zęby jej białe były, jak kwiat we włosach. Mówiła:

— Jest wojna i perły ci będą potrzebne, Panie! O-lé nie chce ich. Niech je dostaną żony wodzów, których mężowie będą musieli dać krew w obronie króla.

— Mądrze mówi, — odezwał się któryś.

Król patrzył na O-le wzrokiem, jakim na naradach obejmował Ra-tonga, który jedyny stanął po jego stronie, przeciw wszystkim gnuśnym Aratuańczykom. Odezwał się — do niej, a może do wodzów, a może i do siebie:

— Roztropna jesteś, jakbyś nie była kobietą, a przecież jeszcze kwiat nosisz we włosach. Nie wiem, czemuż to młodzi i głupi na Ara-tua większe serca mają w piersiach i rozumniejsi są niż dojrzali i mądrzy wojownicy.

Wodzowie opuścili oczy, lecz i O-le nie śmiała podnieść wzroku. Król powstał z maty, podszedł do niej i położył przyjaźnie rękę na ramieniu. Twarz jej pociemniała ze wzruszenia — którejż to bowiem z dziewcząt kładł król swą dłoń na ramieniu? Spytał łagodnie:

— Czemże ci się, O-le, wywdzięczy Ara-tua?

O-lé podniosła głowę. Patrzyła mu teraz w oczy bez zawstydzenia. Urzekała prostotą, skromnością i pięknem. Mówiła z szacunkiem, wargi jej poruszały się jak dwa płatki czerwonego kwiatu, a oczy błyszczały w półmroku i biały pąk we włosach wydawał przenikliwą woń.

— Nie pragnę pereł i niepotrzebne mi są błękitne muszle. Chata nasza jest uboga i daleka od wsi, ale dobrze nam jest z ojcem, który jest chory i lubi spokój i samotność. Jadło mamy proste i obywamy się byle czym, ale... — zaczerpnęła oddechu.

— Mów dalej, — zachęcał ją.

— O-le chciałaby mieć lawa-lawa ze srebrnych piór...

Król zmarszczył brwi, pionowa bruzda przecięła mu czoło, a wodzowie chrząkali porozumiewawczo, dziwiąc się zuchwałości dziewczyny, która śmiała zażądać jako zapłaty stroju królów i wodzów.

O-lé cofnęła się o krok. Pierś jej podniosła się dumnie, wstrząsnęła głową, aż zafalowały na ramionach i barkach granatowe z czarności włosy. Rzuciła:

— O-le pochodzi także z rodu wodzów, matka jej była córką mężnego Om-baro, czyli Tropiciela Śladów i nosiła także srebrne lawa-lawa.

Król rozchmurzył się.

— Wybacz, O-le, zapomniałem o tym, — zaklaskał w dłonie. Zasłona odchyliła się i wsunął się do wnętrza stary Ara-tuańczyk, dzierżący opiekę nad majątkiem króla.

— Przynieś Iro-ko, dwa razy po dziesięć srebrnych piór, a wybierz te, które są najbardziej różowe od spodu.

Oddalił się stary Iro-ko i po chwili przyszedł z naręczem piór.

Król wziął je, położył na wyciągniętych rękach O-le, której serce biło głośno i zdawało się rozrywać złotobrązową pierś. Przycisnęła je delikatnie do siebie, osłoniły ją całą, ułożyły się na ramionach miękkimi kolistymi puklami. Ich srebrna barwa odcinała się połyskami od ciemnej skóry, a różowe podbicie nadawało złotemu ciału ciepłego odblasku. Wodzowie nie odrywali od niej oczu, a król rzekł niskim głosem:

— Strzeż się O-le, jesteś tak piękna, a źle, gdy mężczyźni, idąc do walki, zostawiają swe serca w rękach dziewcząt.

Odsłoniła zęby w uśmiechu, a tajemnicze połyski zagrały w jej oczach. Promieniała radością i dumą i tą pewnością zwycięstwa, która czyni kobietę bardziej piękną, niż najbogatszy strój.

Wieść o O-lé rozniosła się po całej wsi. Gdy wracała przez nią, udając się do domu, mężczyźni nie witali jej jak dotychczas, ale usuwali się z szacunkiem, należnym żonom wodzów i ich córkom. Niektóre kobiety z daleka ją pozdrawiały, choć jeszcze wczoraj nie dostrzegały ubogiej dziewczyny. Jej rówieśnice patrzyły z pożądaniem na naręcze piór, niejedna odwracała się nie mogąc przełknąć zazdrości. Taka mówiła:

— Patrzcie, oto wojna, która jednych czyni ubogimi, a drugich wynosi, bo mają spryt handlarzy.

O-le nie słyszała też i nie umiała czytać w myślach ludzkich. Nic więc nie mąciło jej radości. Wieczorem długo siedziała przy blasku księżyca. Na długie łyko nanizała płaskich, błękitnych muszel i to był pas, do którego potem przytwierdzała końce piór, by utworzyły spódniczkę. Ubrała ją, a dotyk puchu zbudził drżenia w mocnych lędźwiach i tęskną myśl o Ra-tongu. Z pęku pozostałych piór uwiła diadem, podtrzymujący włosy, zebrane od tyłu, a rozłożystym wachlarzem przysłoniła swą kibić. Pospieszyła nad zatokę, by w lustrze jej przyjrzeć się sobie. Ostrożnie weszła na pień. W zwierciadle spokojnej wody odbijała się jej sylwetka. Wolnym ruchem uniosła pióro na biodrze i puściła je: widać było w wodzie jak odbicie jego spływa i układa się miękko. Potrząsnęła głową. Zadrżał wieniec na włosach. Znieruchomiała znowu i tylko lekki wiew muskał jej nogi. Nie wiedziała: czy to wiatr, czy to księżyc, czy dotknięcie srebrnej lawa-lawa.

Patrzyła cicha i jasna od radości jak zatoka podczas księżycowej nocy. Nagle... Wydało jej się, że palma westchnęła u brzegu, dziwnie, po ludzku. Podniosła oczy. Od skraju lasu szedł ku niej... Ra-tongo? Serce stanęło w niej, myśli stanęły w niej. Poddała się bezwiednie instynktowi, który pchał ją na oślep ku niemu. Szła naprzeciw lunatycznie, nie podnosząc oczu, a lawa-lawa muskała jej nogi i piersi. Czyż nie wiedziała, że odzyska go, gdy będzie miała strój wodzów na sobie? Stanęła, gdy cień jego zasłonił jej księżyc.

— Ty, ty, O-le, Dziki Ptak z Ara-tua?

Głos był dziwny i brzmiał w nim zawód. Ocknęła się z oszołomienia. Podniosła powieki. Przez usta jej przebiegł skurcz straszliwego zawodu: oto miała przed sobą wyblakłe oczy Łucznika, pomarszczoną twarz i wychudłe ramiona. Syknęła, krzywiąc się:

— Czemu się włóczysz nocą aż tutaj?!.

Nie dosłyszał pewnie, bo znów rzekł ze smutkiem:

— To tylko ty, O-lé...

Zwiesił głowę. Nie rozumiała go. Po chwili starym, znużonym głosem wyjaśnił:

— Zobaczyłem cię pośród drzew i zdawało mi się, że to twoja matka przyszła po mnie... Taka jesteś piękna, O-le!... — otarł łzy wierzchem pomarszczonej ręki.

Zawstydziła się swego gniewu. Mimo wszystko jednak radość zatrzepotała w jej sercu płochliwie. Jeśli bowiem ojciec, którego serce przecież dawno wyschło ze starości ze łzami ścigał ją aż do zatoki — to czyż Ra-tongo nie pójdzie za nią teraz?

O-lé szła przez las śladem Łucznika. Żal jej było jego mokrych zapadłych, policzków i chudych ramion. Przez współczucie jednak przebijał i gniew, że porzuca dom, i lęk, że dotrze do spraw, które tak starannie przed nim ukrywała. Nie mówiła jednak nic. Ojciec miał pochylone plecy i ślady łez na twarzy. W szałasie legli na matach, on — z głębokim westchnieniem, ona — z myślą o dniu jutrzejszym, w którym wieś cała miała się zebrać na brzegu, by pożegnać wojowników, którzy mieli podwoić straże i objąć obronę Wyspy Srebrnych Ptaków. Jutro O-le ukaże się wszystkim w całej swej piękności. Jutro — zdobędzie serce ukochanego.

* * *

Ranek nazajutrz był świeży. Zerwał się wiatr. Szumiała w koronach palm. Ocean wzdymał się.

O-le nadeszła na brzeg, gdy byli już tam prawie wszyscy. Dziewczęta żegnały się z wojownikami, żony odprowadzały mężów i synów. Król ze starszyzną stał opodal. Mierzył oczami odległość, jaka dzieliła go od pierwszej łodzi, malejącej na horyzoncie.

Dziewczęta wzdychały i śmiały się, kiwając rękami do odbijających, kilka z nich płynęło wzdłuż łodzi, — woda roiła się od żagli i ciemnych głów, z białymi kwiatami we włosach. Rówieśnicy O-le patrzyli z zazdrością na wojowników i na ich twarze, znaczone białą i czerwoną farbą.

O-le przyłączyła się do gromady, stanęła w swej srebrnej lawa-lawa śród spódniczek z trawy morskiej. Wyglądała śród wyspiarek jak wspaniały, dziki ptak. Obstąpiły ją w koło. Tylko jedna, Westchnienie Wiatru, stała z daleka, na samym kraju wioski. O-le rozglądała się niecierpliwie. Wszyscy byli tu, wojownicy, którzy jeszcze nie zdążyli odbić od brzegu, starzy i wyrostki małe, dzieci i cała młodzież. Wszyscy — tylko nie Ra-tongo, w którego oczach chciała widzieć swoje odbicie. Przeszukała wzrokiem wszystkie łodzie, odprowadzając wojowników. Przyglądała się wszystkim głowom, płynącym ciemnymi punktami po wodzie zatoki. Z daleka, przed barierą raf, dojrzała jakieś mocne ramiona, tnące wodę obok łodzi.

— Któż tam ściga się z żaglem? Czy to nie Ra-tongo? — spytała od niechcenia jednej z dziewcząt.

Ta spojrzała na nią w zdumieniu:

— Czyż nie wiesz, że Ra-tongo został mianowany wodzem wyprawy? Jego łódź o świcie wyruszyła na Wyspę Srebrnych Ptaków.

Gdyby O-le otrzymała kiedyś potężny cios w głowę, z tyłu, gdzieś nisko u podstawy czaszki, nie ogłuszyłoby ją to bardziej, niż teraz. Poruszała ustami, nie mogąc wydać żadnego dźwięku. Wachlarz zwisnął jej u rąk. Patrzyła w oczy tamtej, jak głucha, co rozpoznaje słowa po ruchach warg.

Tamta zwróciła się w stronę, gdzie stała Westchnienie Wiatru:

— Popatrz, — rzekła — oto stoi tam Ali-o-mu, która nie umie śmiać się ani płakać. Za kimże sądziłaś wypatruje sobie oczy?

Jeszcze jeden cios w serce, nieosłonięte wachlarzem z piór. W skroniach O-le walą szybko uderzenia, a szum oceanu tłucze się pod czaszką. Tego nie przewidziała. Nie przewidziała, co teraz stanęło jasno przed oczami: pragnęła zdobyć Ra-tonga, a dała wojownikom z Wyspy Ciepłych Wiatrów doskonałą broń do ręki, jemu wcisnęła bezużyteczne narzędzie i pierś jego wystawiła na pociski wroga. Zdobyła srebrne lawa-lawa i została na brzegu z pękiem piór w opuszczonej dłoni, na które nie miał kto patrzeć... Biedna O-lé!

Wysunęła się z wrzawy. Poszła brzegiem lasu w stronę zatoki. Wolno w zamyśleniu skubała pióra, niepotrzebne, które wiatr porywał i unosił nad wodę. Minęła skuloną Westchnienie Wiatru, spojrzała na nią wzrokiem czarnym od bólu i nienawiści. Jedną tylko miała w tym wszystkim radość, że oto i Westchnienie Wiatru została na brzegu opuszczona, jak i — ona.

Lecz jakiż smak miała ta radość? Gorzki jak sok łodygi czerwonego kwiatu, rzuconego kiedyś tamtej z wyzwaniem do walki o niezdobyte serce Ra-tonga.

ROZDZIAŁ VII

Od dwóch dni i dwu nocy morze było ciche i szare jak posypane popiołem, a księżyc martwy i gwiazdy szkliste. Palmy stały nieruchome i tylko czasem szarpnęły się na nagłym podmuchu. Ptaki krzyczały po nocach dziwnym głosem, łopotały z gwałtownym przerażeniem płoszone czymś. W tej ciszy był jakiś niepokój. Morze czaiło się nim u brzegów, a gwiazdy cofały się w głąb nieba.

Serce O-le bolało. Nocami strach ją wyganiał z chaty, ojciec podnosił się za nią, ale już nawet o nic nie pytał. Wychodziła na brzeg i szukała w oddali ciemnej plamy na horyzoncie — tam, gdzie winna leżeć Wyspa Srebrnych Ptaków. Nie było jednak nic widać. Horyzont był zamglony, popielaty. Tylko od strony Wyspy Ciepłych Wiatrów nadpłynął drugiego wieczora kwadrat żagla. O-lé ścisnęła w rękach zmięty wachlarz piór. Łódź zatrzymała się w cieniu palm i po chwili, cicho skradając się, nadszedł stamtąd Orzeł Morski. W ręku niósł jakiś wydłużony, puszysty przedmiot. Natknąwszy się na nią, zakrytą, wydał okrzyk zdziwienia:

— O-le?! Czekałaś na mnie? Oto pierwsza zdobycz!

Rzucił jej pod stopy niesiony w ręce przedmiot, załaskotał ją w nogi. Pochyliła się. Dotknęła dłonią piór srebrnych, zanurzyła w nie palce. Natrafiły na wystygłe już zwłoki ptaka. Cofnęła się z odrazą, rękę przyłożyła do piersi i zaśmiała się ostro i długo...

— Ciiicho! — przyskoczył do niej.

Odtrąciła go od siebie i przez śmiech rzuciła, dławiąc się:

— Nie chcę już twoich srebrnych ptaków!

Potrząsnął głową, nie rozumiejąc.

— Mam już srebrne lawa-lawa, popatrz — i wachlarz różowy od spodu. Niepotrzebny mi jesteś!

Twarz Orła, powleczona księżycem pojaśniała z bladości, a nozdrza poruszyły się gniewnie. Ręka jego wyciągnęła się ku niej i w twardym uścisku zgniotła jej przegub. O-le wyrwała się i krzyknęła ostrym szeptem, szczerząc zęby w bezustannym śmiechu:

— Idź! O-le sprzedała łuki na Ara-tua i sama sobie kupiła lawa-lawa. Nie chciała być zależną od ciebie. Pragnęła być piękną nie dla ciebie. Dla Ra-tonga! Puść!... Boli!... — głos jej załamał się. — O-lé drwiła z ciebie, popchnęła do wojny, aby móc sama zdobyć pióra. O-le kocha Ra-tonga i dla niego chciała być piękna, nie dla ciebie, głupi! Ślepy!...

Urwała, bo Orzeł Morski szarpnięciem przyciągnął ją do siebie, aż upuściła wachlarz z piór, — podniósł rękę do góry.

Dalszy ciąg nastąpi

UDANY PORTRET

Rys. i tekst: Pawl.



Chciał mieć Motek portret; zatem
Wezwał Knotka z aparatem.

Właśnie Motek karmił świnkę
Gdy ustawiał Knotek skrzynkę.

Świnka widząc to zajęcie
Z gracją staje na swej pięcie.

I gdy portret już gotowy
Wyszedł na nim Motek nowy.



Ropucha przybiera groteskową postawę celem odstraszenia węża-napastnika.











Kiełkująca roślina rozporządza — wbrew oczekiwaniu — olbrzymią siłą gdy chodzi o usuwanie przeszkód piętrzących się na drodze jej rozwoju: wątłe na pozór roślinki strącają z łatwością ze swej doniczki szybę z ciężarkami.

Wielkie zainteresowanie budzi wśród nas świat zwierząt ssących, podziwiamy zwinne i pięknie upierzone ptaki, którym przez wieki zazdrościliśmy sztuki latania, pociągają nas nieme mieszkanki wód — ryby, odrazą przejmują gady i płazy, mało jednak poświęcamy uwagi odznaczającemu się niezwykłym bogactwem form i niezwykłą liczebnością gatunków (ponad pół miliona) światowi owadów. Wszak dla większości ludzi, nawet wykształconych to nic innego jak tylko „robaki".

Najliczniejszą grupę owadów stanowią chrząszcze. Znamy ich obecnie na świecie około 120.000 gatunków, z czego ponad 6.000 żyje u nas. Są one grupą zwierząt niezwykle w formy bogatą.

Największym przedstawicielem chrząszczy w naszej faunie jest jelonek rogacz, którego gąsienica żyje przez pięć lat w nadbutwiałym drewnie dębów zanim zamieni się w tajemniczą poczwarkę a z niej w szóstym roku w dorosłego owada. Samiec oznacza się potężnymi szczękami, zdobiącymi na kształt jelenich rogów jego głowę.

Groźnymi i nigdy niesytymi rabusiami naszych wód są pływaki żółtobrzeżki, zarówno w postaci larwy jak i dorosłego owada. Nie tylko płazy i drobne mięczaki wodne, ale nieraz i większe ryby padają ofiarą ich żarłoczności. Drapieżniki te odznaczają się charakterystyczną, łódkowatą budową ciała, ułatwiającą im, w połączeniu z długimi, włochatymi tylnymi nogami szybkie poruszanie się w wodzie.

W przeciwieństwie do szkodliwego w gospodarstwach rybnych pływaka jednym z najbardziej cenionych tępicieli szkodliwych gąsienic jest biegacz, tęcznik liszkarz.

Do najdawniej znanych chrząszczy należy niewątpliwie poświętnik czczony — skarabeusz, w którego formowaniu kul z nawozu jako spiżarni dla potomstwa widzieli starożytni Egipcjanie obraz tworzenia świata i wizerunki jego, wykute w potężnych rozmiarach, umieszczali jako symbol potęgi twórczej w swych świątyniach i grobowcach, względnie w postaci miniaturowych rzeźb nosili przy sobie jako amulety.

W potężne zasoby sił zaopatrzyła przyroda zresztą nie tylko owady, ale i wątłe na pozór rośliny. Komu zaś tych sił poskąpiła, ten stara się chytrością uchronić od zagłady jak to widzimy z załączonych zdjęć.

Łuk.





Na lewo: Drapieżna larwa pływaka żółtobrzeżka pożera ślimaka, usiłującego nadaremnie ukryć się w swej skorupie.



Na lewo: Ten apokaliptyczny potwór — to tylko poczwarka jelonka, chrząszcza, żyjącego w naszych lasach dębowych.

Czczony w starożytnym Egipcie chrząszcz skarabeusz toczy uformowaną kunsztownie kulę nawozu, stanowiącą cenną spiżarnię dla jego potomstwa.



Zawiść rywali — gdy chodzi o względy płci pięknej — nie tylko u ludzi przybiera ostre formy. Oto dwa samce jelonki, walczące zaciekle o względy samiczki.

FILM podpatruje naturę



Każde zwierzę umie pływać instynktownie, bez konieczności uczenia się tej sztuki. Oto stadko reniferów, przepływające fiord.





Powyżej: Skarłowaciały potomek dawnych przedpotopowych potworów — kameleon, wyczekuje, pozornie skamieniały, sposobności pochwycenia unoszącego się owada.

Na lewo: Chrząszcz tęcznik liszkarz odgrywa obecnie wybitną rolę jako nasz sprzymierzeniec w nowoczesnych metodach walki ze szkodnikami drzew owocowych.

Fot. Ufa



Na prawo: Jedne z najpiękniejszych naszych kózek — chrząszcze wonnice piżmówki — w porze godowej.

Zdjęć dostarczyła nam wytwórnia filmowa Ufa, produkująca interesujące filmy naukowe.

Groźni, a nigdy nienasyceni rabusie wodni, pływaki żółtobrzeżki, raczą się porcją ryby.

„Bułgaria”



Zula Krasnowiecka w jednym ze swoich tańców.
Fot. Pudłowski Cz.

Duet Nowakówna—Kopiński w „Tańcu węgierskim”.
Fot. Zajączkowski

„Kometa”

Z racji ostatniej premiery „Komety” „W kolorach złotej jesieni” należałoby zwołać dyrektorów warszawskich teatrów, żeby zobaczyli jak się wystawia naprawdę pierwszorzędną rewię. Już sam fakt, że premiera zaczęła się punktualnie a skończyła przed dziesiątą stanowi ewenement niebywały. Zwykle publiczność wyczekuje, bo do ostatniej chwili idzie jeszcze próba generalna, po tym trzeba gonić „na łeb, na szyję”, żeby zdążyć z drugim seansem, który powinien się zacząć o wpół do ósmej, a zaczyna o dziewiątej. Z racji tej, publiczność czekająca, głośno wyraża swe niezadowolenie, co niejednokrotnie zagłusza przejmujący głos suflera, który wyłazi ze skóry aby „wesprzeć” aktorów zupełnie ról nie umiejących, jako że za krótko przed premierą dostali teksty. Stąd żałosny efekt całości — w dodatku spóźniony spektakl wieczorowy skraca się dowolnie o kilka numerów, żeby zdążyć. Publiczność dalej mieszkająca, w połowie zaczyna wychodzić trzaskając fotelami, drzwiami i zębami ze złości, że się tak dała nabrać.

Jednym słowem — bałagan, bałagan i jeszcze raz bałagan. Otóż premiery „Komety” idą sprawnie — nic z nastroju ciocinych imienin. Jest tu dużo dobrego śpiewu: Malówna, Golferi, Poreda we fragmencie z „Miłości cygańskiej” niczym nie ustępują kolegom ze spektaklu teatru miejskiego, dobrana trójka Suchcicki, Klimaszewski i Wilas z brawurą tańczą i śpiewają o wolnych trampach, pani Malówna raz jeszcze czaruje swym aksamitnym głosem i subtelną interpretacją w piosence o „Jesieni”.

Gościnnie występujący p. Poreda przypomina swój najlepszy numer „Króla Włóczęgów” i „Puszlę”.

W skeczach brylują doskonały Woliński, Jezierska — zresztą należałoby przepisać cały afisz — rzadko się spotyka zespół tak wyrównany bez słabych punktów. Każdy obraz ma piękne dekoracje Galewskiego — podczas gdy w śródmieściu wali się większość na tle kotary z ordynarną wstawką imitującą jakiś fragment — słowem „górą Kometa”.

Nad całością tak udaną czuwają pp. dyr. Giziński i Horski. Jak tak dalej pójdzie, będziemy jeździć na Chłodną, jeśli zechcemy zobaczyć dobry spektakl.

Jeden z najpiękniejszych i najoryginalniejszych lokali warszawskich to „Bułgaria”. W pięknie przybranych, stylowych salach zachowujących oryginalny folklor bułgarski — nie darmo czuwał nad całością wytrawny dyrektor i prof. akademii sofijskiej w jednej osobie p. Christo Stefanoff — rozgościł się artystyczny kabaret, hołdujący przede wszystkim najbardziej międzynarodowej sztuce, dla wszystkich dostępnej i zrozumiałej — sztuce tańca. Spotykamy tu więc różnorakich a zawsze pierwszorzędnych jej przedstawicieli — jeden z najmłodszych i najlepszych duetów Warszawy znany z „Ula” Bittnerówna—Kapliński, estetyczny i nowoczesny, równie dobry w tańcu parkietowym czy charakterystycznym duet Nowakówna—Kopiński i zadziwiający brawurą i temperamentem duet Kamińskich. Gdy dodamy do tego tańce posągowej Zuli Krasnowieckiej, czeczotkującej pani we fraku, uroczej Daisy Scott, czy rozmach Gali Gari i stylizowany taniec chłopski, mocno znakomitą naszą sławę Zziulę Buczyńską przypominający, w wykonaniu Bończy, to otrzymamy rozwiązanie tajemnicy powodzenia „Bułgarii”. Pierwszorzędnej całości dopełnia zespół pod wytrawną batutą p. Winowskiego.

Czesław Pudłowski

Uwaga! Fotoamatorzy!



Miłe jest to nasze dzisiejsze zdjęcie z psem i dzieckiem. Czy może to być zdjęcie pozowane! Nie, stanowczo nie, jest ono uchwycone i to w momencie naprawdę niecodziennym. Na to wskazuje minka tego dziecka i spokojne zachowanie psa. Prosimy spojrzeć na wyraz twarzy dziecka: co za skupienie w oczach i w całej mince! Z jaką ostrożnością podsuwa ono paluszek do języka psa. Nie pozbyło się jednakże całkowitej nieufności, bo nie śmie dotknąć go naprawdę. I właśnie to wahanie i zarazem ciekawość odbija się na tej dziecinnej twarzyczce. Zdjęcie wykonał p. Wolny Tadeusz ze Słotwiny, apar. Welti, czas naświetl. 1/100 sek. przesł. 8. Drugie zdjęcie, jakkolwiek nieaktualne już, jest jednak tak dobre technicznie i tak miłe w nastroju, że można je zupełnie dobrze dać dla przykładu, jak wybierać właśnie sceny tego rodzaju. Wykonał je p. J. Skrzypek, z Mielca, apar. Isolette, przesł. 6,3, 1/100 s.



Pierwsza stara panna: — Jakto, zaręczyłaś się z ubraniem męskim?
Druga stara panna: — Tak, bo widzisz, nie mogłam znaleźć tego, kogobym mogła w nim umieścić. (Marc Aurelio)

NAJGORSZA BURZA

— Gdzie i kiedy przeżył pan najgorszą swoją burzę? — pyta szczur lądowy bywałego marynarza.

— Hm... — odpowiada stary wilk morski — było to wtedy, gdy jako świeżoupieczony małżonek wypluł em na podłogę w domu tytoń do żucia.

TRAGIKOMEDIA

W szkole urządzały uczennice wieczór teatralny. Po skończonym przedstawieniu pytają uczennice swych znajomych i rodziców:

— No, i co, jak się podobało przedstawienie?

— Doskonale, uśmialiśmy się do łez. Jeszcze nigdy Hamlet nie był tak dobrze grany.

Ciołek budzi się w nocy i spostrzega, że leży odwrotnie niż normalnie. — Całe szczęście — wzdycha do siebie, — myślałem, że mam ból głowy, a to te nieznośne odciski mnie tak bolą.

POWÓD

Na lekcji fizyki stara się nauczyciel wytłumaczyć dzieciom pojęcie „krótkiego spięcia": wczoraj paliły się w moim mieszkaniu jeszcze wszystkie światła. Kiedy dzisiaj rano przekręcam kontakt, światła nie ma. Przekręcam drugi, też nie, i jeszcze trzeci — nic. Jak myślicie, jaki był powód, że światło nie świeciło?

— Niezapłacony rachunek, panie profesorze!

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA

Marynarz który był konduktorem: — Ameryka! wszyscy wysiadać!

— Mamusiu, czy nasza nowa służąca potrafi widzieć w ciemności?
— Nie. Dlaczego?
— Bo wczoraj wieczorem powiedziała ona, po ciemku do tatusia, że się nie ogolił. (Aftenposten, Norwegia)

Bracia siamscy: — Przepraszam, że brat mój nie przyszedł. Musiał on zostać w domu. (Marc Aurelio)

OD TYŁU

Pani Boczkowa nie straciła podczas wojny nic ze swej imponującej wagi. Waży sobie dalej swoje 100 kilo, jak za najlepszych czasów. U rzeźnika stara się też zawsze zdobyć okrężną drogą coś z mięsa. Razu pewnego przychodzi też do sklepu rzeźnickiego i mówi: — Czy mógłby mi pan sprzedać trochę mięsa, tak od tyłu?

— Ależ proszę pani, dlaczego? Przecież pani go ma dosyć, — odpowiada rzeźnik, spoglądając z uśmiechem na panią Boczkową.

NIEDOBRANI

Podobno małżeństwo Lili nie jest szczególnie szczęśliwe?

— Nic dziwnego. Ona jest profesorką matematyki, on zaś jest zupełnie nieobliczalny.

Rozrywki umysłowe

ZAGADKI

Jestem małe, a nie mam końca ni początku,
Ubóstwa jestem częścią, nie ma mnie w majątku,
W całości raz się mieszczę — dwa razy w połowie,
I w ptakach się znajduję: w sroce, wronie, sowie;
Mieszczą mnie w sobie osły, kozły no i słonie;
Również przebywam w Moskwie, w Londynie, w Lizbonie;
Lecz się mną nie zachwyca Paryż ni Warszawa,
Pełno mnie w spokojności — unikam gdzie wrzawa.

Jeśli mnie odgadnąć chcecie:
Na literze jest litera,
Wszystko stanowię na świecie,
Każdy ze mnie korzyść zbiera.

Gdy na trzech nogach stoję,
Polskiego króla jest nazwisko moje.
Kiedy mi głowę zetniesz — rozrywkę ci sprawię,
A czasem grosza pozbawię.
Chociaż mnie przeczytasz wspacznie,
To mię skończy, co mnie zacznie.

KRZYŻÓWKA ul. J. B.

Znaczenie wyrazów: poziomo: rząd II gatunek motyla; IV szyszak, hełm, kościelny ubiór kapłański; VI miara długości, pora roku, VIII tłum, zgraja.
Pionowo: II architektoniczna ozdoba, IV szal, część długu; VI duży ptak wróblowaty, starogrecki instrument muzyczny; VIII kość, leżąca z tyłu klatki piersiowej.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK z Nr. 39

Zadanie matematyczne:
Wysokość drzewa wynosiła 12.60 m.

Eliminatka rysunkowa:
Znaczenie rysunków: 1. jad, 2. ski; 3. pas; 4. len; 5. zet; 6. as; 7. leki; 8. kredy; 9. damy; 10. dysza;
Rozwiązanie zasadnicze: „Jaki pan, taki kram".

Konikówka podwójna:
Na drzewie milczenia rośnie jego owoc: spokój. — Ogień cierpienia, który pali słomę, oczyszcza złoto.

WIELGUS JAN

lat 40—42 z Krakowa przepadł bez wieści w 1939 r. Ktokolwiek posiada o nim jakieś wiadomości proszony jest o zawiadomienie pocztą, względnie za pośrednictwem „Gońca Krakowskiego" lub „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" na adres:

LWÓW, UL. PAŃSKA 11 a, Dr FIRLA

Jadzia Andrzejewska

Stanisław Woliński

Loda Niemirzanka

Aleksander Żabczyński

Wkrótce na naszych ekranach

Film ten przypominamy sobie jeszcze sprzed wojny. „Ada to nie wypada" był przez długi czas modnym szlagierem, śpiewanym, gwizdanym, granym. Przypominamy sobie, że była to wesoła komedia, pełna werwy i młodości. W rolach głównych występują same asy filmu i sceny polskiej jak np. Mira Zimińska, Loda Niemirzanka, Kazimierz Junosza-Stępowski, Antoni Fertner, Aleksander Żabczyński. Jeżeli ktoś pragnie się pośmiać bez troski, niech ten film zobaczy.

„ADA, TO NIE WYPADA"

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900